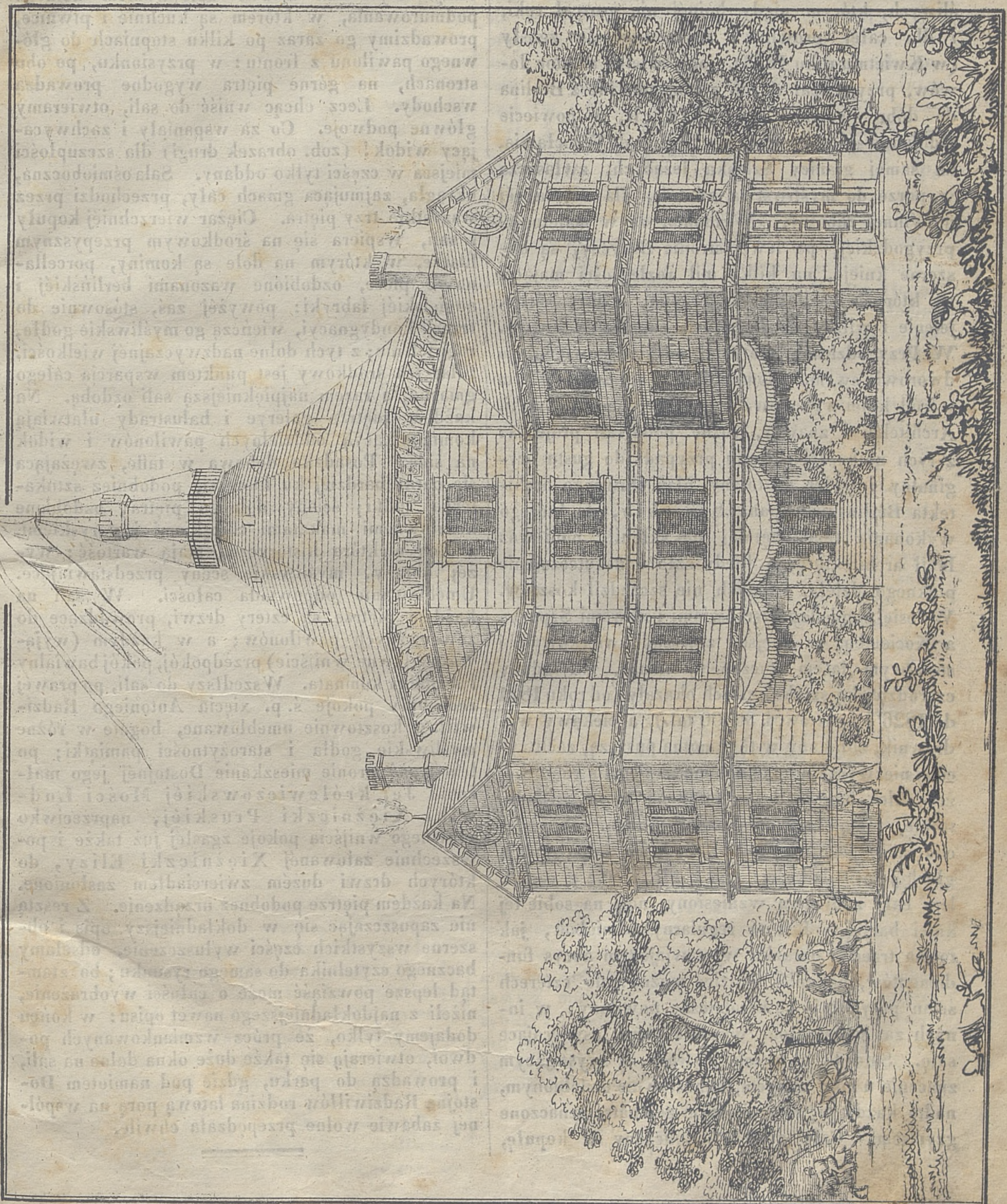
Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. No. 1. Leszno, dnia 2. Lipca 1836.



Antonin, zamek myśliwski Xiążąt Radziwiłłów.

Antonin, zamek myśliwski Xiążąt Radziwiłłów.

Xiążę Namiestnik Antoni Radziwiłł, pan wspaniały i dobroczynny, przechowujący na dworze dawną swych przodków okazałość i staropolską gościnność, niestety! dla wielu nieszczęśliwych, którym nigdy hojnéj nie usuwał ręki, i dla całéj prowincyi zbyt wcześnie zgasły (w Kwietniu roku 1833), jako wielki amator łowów, przyjeżdżał co rok z Poznania lub z Berlina do dóbr swoich Przygodzkich, w powiecie Odolanowskim, na trakcie z Kalisza do Wrocławia, na saméj granicy Szląska leżących, zwłaszcza w porze do myśliwstwa zdatnéj, dla użycia téj niewinnéj zabawy. Wiadomo, że w majętności przygodzkiéj, po lewéj stronie Baryczy, są obszerne knieje, na kilka mil rozległości mające, w których rozliczna zwierzyna, dziki, sarny, jelenie i wilki, do hucznych zapraszają łowów. W Przygodzicach nie miał xiążę odpowiedniego dworowi swemu pomieszkania: umyślił zatem wśród kniei wybudować wygodny dom myśliwski. Architekci i znawcy, różne podawali projekta: z tych najbardziéj xięciu przypadł do gustu oryginalny i nader gustowny plan sławnego architekta Berlinskiego pana Schinkla, do którego wykonania tém chętniéj się skłonił, ponieważ lubił architekturę, a kiedy szło o uskutecznienie pięknego dzieła, żadnych nie szczędził kosztów. W lesie pomiędzy pustkowiami i stawami Szperką a Kociembą, w miejscu zewsząd świerkowym i sosnowym lasem otoczoném, stanął, jak gdyby czarodziejską sztuką, gmach okazały (od roku 1821 do 1826 i kosztował 30000 tal.), a ciekawy wędrownik, zbłąkany w tę samotną puszczą, zachwycony niezwyczajnym widokiem, mniema z początku, że jakieś bóstwo leśne tutaj na swym zasiadło tronie, i ztąd nad całą panuje knieją. Powierzchowność jego, kształt i budowa odpowiadają głuchéj lasu dzikości: nie z głazu, nie z cegieł, lecz cały z drzewa wzniesiony, nosi na sobie téj kniei barwę. Jest to regularny ośmiobok, jak to na trzecim obrazku wystawiającym abrys fundamentów, najlepiéj widzieć można: do czterech ścian przytykają czworoboczne pawilony: w innych zaś umieszczone wysokie okna, oświecające salę. Sala ta o trzech piętrach, z wystającym znacznie u góry okapem, kunsztownie ozdobionym, nadto każde piętro mniejszym zewnątrz oznaczone gzymsem. Cały gmach zakończony w kopułę, w któréj środku jest komin, nad nim dopiero unosi się konduktor i chorągiew.

Rycina 1. przedstawia nam Antonin nie z frontu, lecz właściwie tylną jego stronę od ogrodu, założonego w angielskim guście, z którym styka się zwierzyniec: piękną facyatę prawego pawilonu, dość wyraźnie pokazuje obrazek. Ale czas już przypatrzyć się wewnętrznym jego częściom. Nie chcąc czytelnika trudzić opisywaniem dolnego podmurowania, w którem są kuchnie i piwnice, prowadzimy go zaraz po kilku stopniach do głównego pawilonu z frontu: w przysionku, po obu stronach, na górne piętra wygodne prowadzą wschody. Lecz chcąc wniść do sali, otwieramy główne podwoje. Co za wspaniały i zachwycający widok! (zob. obrazek drugi) dla szczupłości miejsca w części tylko oddany. Sala ośmioboczna, okrągła, zajmująca gmach cały, przechodzi przez wszystkie trzy piętra. Ciężar wierzchniéj kopuły i sali, wspiera się na środkowym przepysznym filarze, w którym na dole są kominy, porcellanowe piece, ozdobione wazonami berlińskiéj i angielskiéj fabryki: powyżéj zaś, stósownie do trzech kondygnacyi, wieńczą go myśliwskie godła, rogi jelenie; z tych dolne nadzwyczajnéj wielkości. Filar ten środkowy jest punktem wsparcia całego gmachu, a razem najpiękniejszą sali ozdobą. Na każdém piętrze galerye i balustrady ułatwiają kommunikacyą oddzielnych pawilonów i widok na salą. Posadzka dębowa w tafle, zwężająca się coraz bardziéj ku filarowi, podobnież sztukaterya sufitu; ściany dolnego piętra, ozdobione kosztownemi makatami chińskiemi i paryskiemi, z tych niektóre historyczną mają wartość; wyżéj obrazy, myśliwskie sceny przedstawiające. Umeblowanie odpowiada całości. W sali na każdém piętrze są cztery drzwi, prowadzące do zewnętrznych pawilonów; a w każdym (wyjąwszy główne wnijście) przedpokój, pokój bawialny i sypialna komnata. Wszedłszy do sali, po prawéj ręce były pokoje ś. p. xięcia Antoniego Radziwiłła; kosztownie umeblowane, bogate w różne myśliwskie godła i starożytności pamiątki; po lewéj zaś stronie mieszkanie Dostojnéj jego małżonki Jéj królewiczowskiéj Mości Ludwiki Xiężniczki Pruskiéj, naprzeciwko głównego wnijścia pokoje zgasłéj już także i powszechnie żałowanéj Xiężniczki Elizy, do których drzwi dużém zwierciadłem zasłonione. Na każdém piętrze podobneż urządzenie. Z resztą nie zapuszczając się w dokładniejszy opis i obszerne wszystkich części wyłuszczenie, odsełamy bacznego czytelnika do samego rysunku; bo ztamtąd lepsze powziąść może o całości wyobrażenie, niżeli z najdokładniejszego nawet opisu: w końcu dodajemy tylko, że prócz wzmiankowanych podwoi, otwierają się także duże okna dolne na sali, i prowadzą do parku, gdzie pod namiotem Dostojna Radziwiłłów rodzina latową porą na wspólnéj zabawie wolne przepędzała chwile.

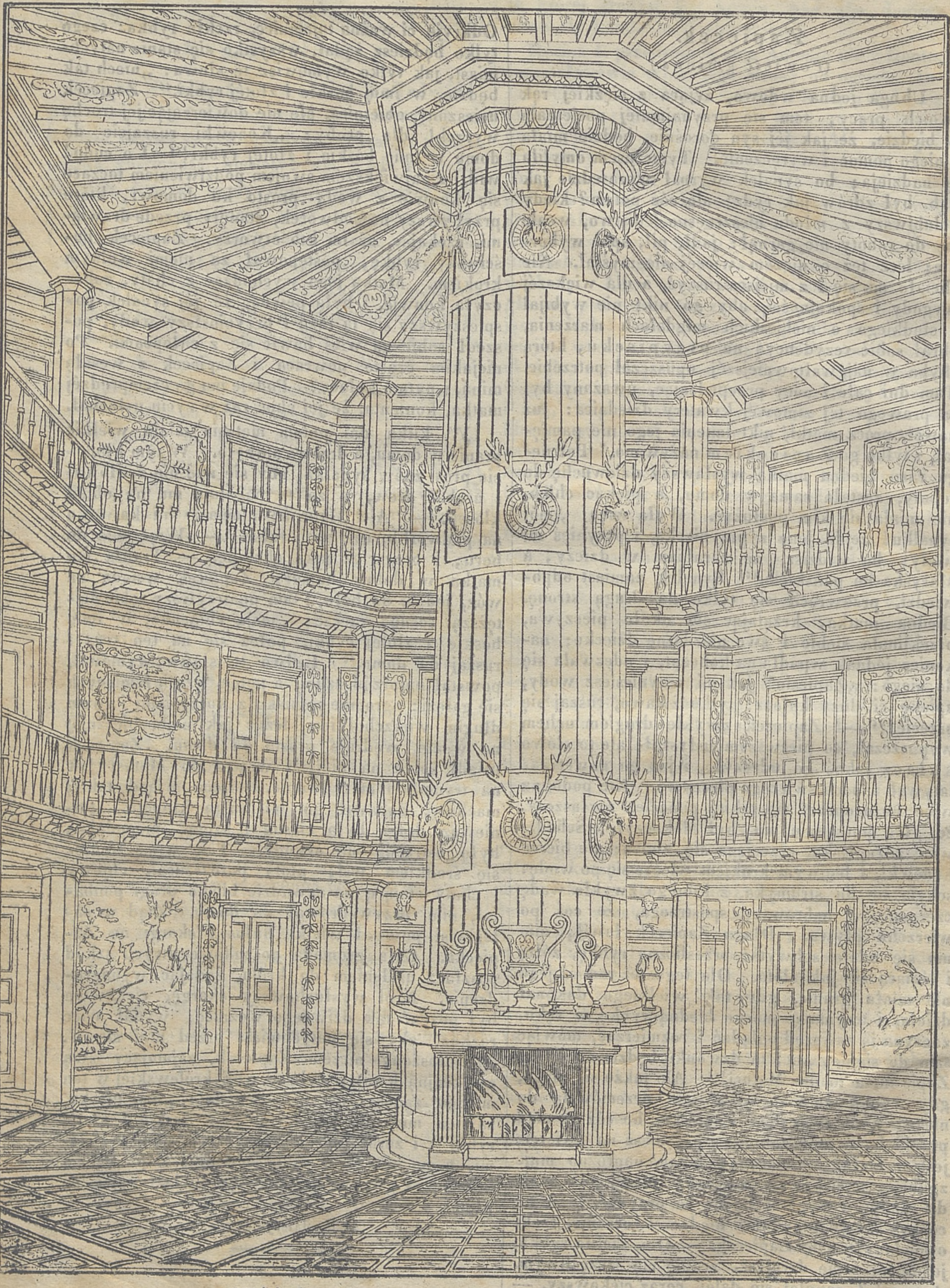
Zapiecek.

(Powieść gminna.)

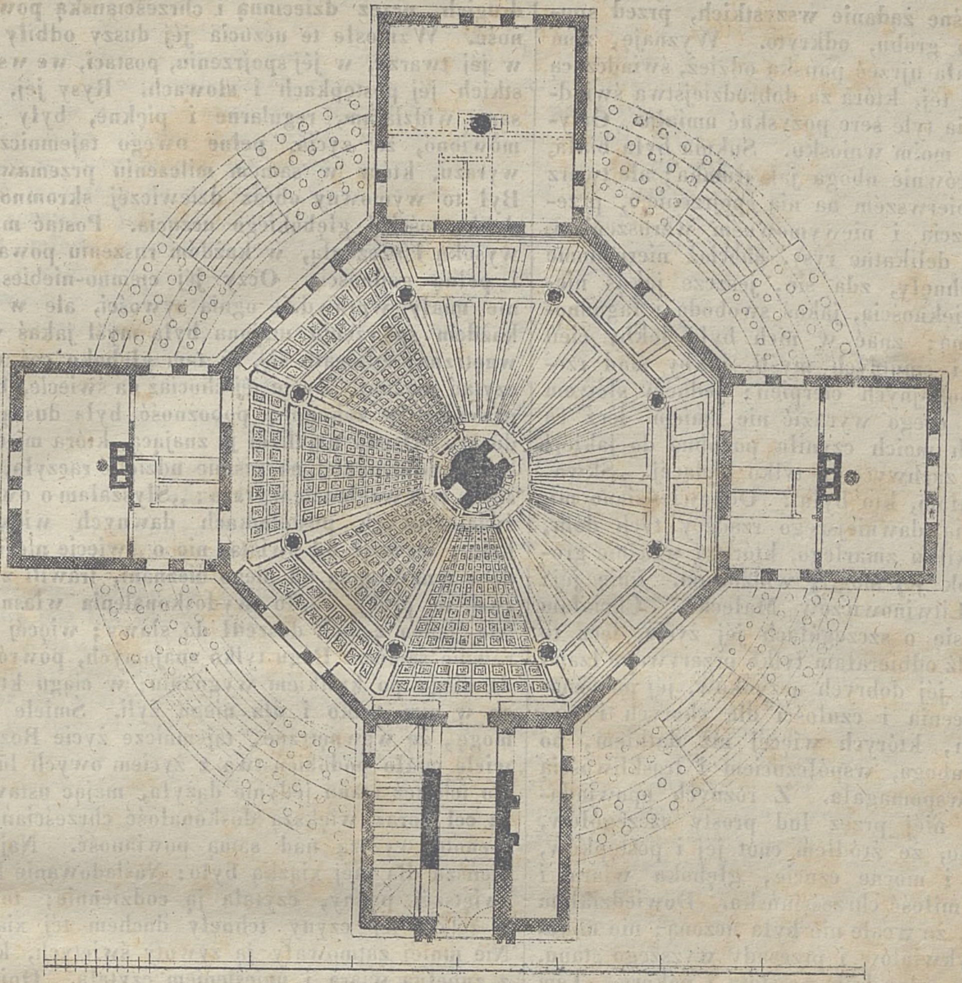
Uboga jedna wdowa, żyjąca z ciężkiéj rąk swoich pracy, tem się przynajmniéj pocieszała w biedzie, że jak jéj syn dorośnie, będzie miała z niego pomoc i wyręczenie. Tymczasem omyliła ją nadzieja; bo synalek wyrosł wprawdzie jak dąb, był zdrów jak rydz; ale cóż potem? kiedy polubiwszy z młodu nieszczęsne lenistwo, wcale się do roboty nie garnął: jadł, pił, spał wybornie; lecz też o niczém więcéj nie myślał. Nie chciało mu się i z miejsca ruszyć, a dla większéj wygody i spokojności, aby go nikt nie wybijał z słodkiego o niebieskich migdałach marzenia, obrał sobie rezydencyą na **przypiecku**, którą chyba w najgwałtowniejszéj opuszczał potrzebie. Tam dni całe i nocy przepędzając, uważany był za prawego téj zimowéj kwatery dziedzica: już nawet, prócz matki, nikt imienia jego nie pamiętał, i tylko go **Zapieckiem** nazywano. Pewnego razu biedna matka wysławszy dziewuchę do roboty, została sama w domu, a piekąc chleb, nie miała się kim posłużyć. Woła więc: „mój synalku! zejdź jeno z przypiecka, i przynieś mi wody; bo widzisz, że zarabiam w dzieży, a Maryśka na pańskiém.“ Synalek zamiast odpowiedzi, przewrócił się tylko na drugą stronę. Biedna matka, krzątając się około pieczywa, przeklinała siebie i swe niezdarne dziecko; nakoniec jednak wpadła na koncept, i odezwała się do niego: „Zapiesiu! jak mi przyniesiesz wody, upiekę ci duży kołacz: tylko żwawo, ruszaj się przecie!“ — Zapiecek zwykle drugiém uchem wypuszczał, co pierwszém usłyszał; ale to słowo **kołacz** jakoś go uderzyło, i już go nawet zalatywał zapach świeżego pieczywa. Nie podobna więc było oprzeć się takiéj ponęcie, zwłaszcza, że głód porządnie mu był dokuczył. Schodzi więc z zapiecka, przeciąga się, ziewa; ale bierze konewki, i leniwym krokiem wlecze się po wodę: schyla się do strumyka, z którego zwykle wodę czerpano, i nabrawszy spostrzega, że coś po wierzchu pływa. Długo Zapiecek łowił, nim mu się udało schwytać prześliczną rybkę, żółtą i lśniącą się jak złoto. Dla tego też radość jego nie miała granic, gdy tak wielkiego dokonał dzieła, i trzymając mocno biedną rybkę w ręku, zaczyna ją zewsząd oglądać i rozmierzać, mówiąc sam do siebie: „ot! to dzwonko będzie dla ciebie Zapiesiu, a to dla Matusi!“ Ale jakże się zląkł, gdy rybka żebrzącym głosem przemówiła do niego: „nie czyń tego Zapiecku, bo cóż ci ztąd przyjdzie, że mnie zabijesz i porąbiesz na ćwierci; jestem mała, niesmaczna: a tak naprόżno mnie zgubisz, a siebie nie nasycisz; raczéj puść mnie do wody, a mogę ci się na co przydać.“ A na cóżbyś mi się przydała, biedne stworzenie, rzekł ośmielony trochę Zapiecek. — Oto, rzekła rybka, jeżeli mi życie darujesz, zrobię cię szczęśliwym. A to jak? zapytał się daléj, coraz ciekawszy. — Odkryję ci ważną tajemnicę, rzekła rybka: czego tylko będziesz żądał, wszystko się stanie natychmiast, jak tylko wymówisz te słowa: „niech tak będzie, w imię boskie i złotéj rybki.“ Zapiecek ucieszony obietnicą, ale nie dowierzając jéj trochę wyrzekł dla proby: „Konewki ruszajcie do domu w imię boskie i złotéj rybki!“ I o cudo! widzi z największém swojem podziwieniem toczące się konwie z wodą prosto ku domowi, które przybywszy na podworek, stanęły przede drzwiami, czekając, aż im kto otworzy. Zapiecek puściwszy rybkę, postępował za niemi wolnym krokiem. Matka jego wychodząc z chaty, zobaczyła konwie, i była pewną, że jéj synalek pospieszywszy się tą razą i przyniosłszy wody, poszedł sobie na wieś bawić się z chłopcami. Po niejakim czasie powraca i Zapiecek z wesołą miną, i pyta o kołacz? Podaje mu go czemprędzéj matka, kontenta, że jéj choć raz w życiu usłuchał.

W kilka dni potem matusia miała wielkie pranie w domu, a drzewa nie było. W tym kłopocie prosi znów synalka, aby się nad nią zmiłował i urąbał drew, a za to nagotuje mu na obiad kłosek. — Ale Matusiu! niemasz ani kawałka na podworku, cóż będę rąbał? — Więc jedź do boru, i przywieź jaką choinkę. — Trafiła mu matka w dobry humor; Zapiecek wsiada na wóz, jedzie do boru, i tam upatrzywszy sobie najtęższą sosnę, rzecze: „moja chojenko, w imię boskie i złotéj rybki, połóż się na ten wóz i ruszaj do domu.“ Ledwo te słowa wymówił, powstał najprzód szum, a potém trzask łamiących się gałęzi: ogromne sosnisko z korzeniami i swem długim wierzchołkiem, leżąc jak najbezpieczniéj na wozie, wędruje prosto do domu. Zapiecek usiadł sobie na niéj, i wracał do Matusi jak na tryumfalnym rydwanie. Lecz wjazd takiéj machiny, nabawił go wielkiego kłopotu. Ponieważ droga była ciasna i kręta, niepodobna było ustrzedz się szkody. Tak więc tłocząc się środkiem wsi, płoty porozrzucał, chlewy i chaty stojące na zawadzie blisko drogi poobalał, nim przywędrował do domu. Ztąd w całéj wsi powstał wielki hałas i skargi na Zapiecka. Cała gromada poszukając swych szkód poszła z użaleniem do króla, żądając wynagrodzenia. Król wysłuchawszy skargę, ciekawym był poznać tak dziwnego woźnicę; wydał więc rozkaz, aby się natychmiast przed nim stawił. Nieustraszony niczém Zapiecek, zajmujący swą zwyczajną kwaterę, chcąc woli królewskiéj w ten moment zadosyć uczynić, zawołał: „mój piecku, zawieź mnie do króla, w imię boskie i złotéj rybki“: i zaraz piec wyruszył otwartemi drzwiami, a na nim leżał sobie spokojnie Zapiecek na brzuchu, i gwizdał piosneczkę: „wlazł kotek na płotek i mruga.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Widok głównego środkowego filaru i sali.



Abrys fundamentów, wraz z posadzką i suffitem

(koła zewnętrzne wskazują miejsce kwiatów, zapełniające próżne przedziały, pomiędzy pawilonami.)

Kilka słów o Rozalii Małeckiéj.

Panie Redaktorze!

Tytuł pisma pańskiego czyni mi nadzieję, że wspomnienie ubogiéj cnoty i cichéj zasługi znajdzie miejsce w jego kolumnach. W tym celu przesełam panu wyimek z odebranego niedawno przezemnie listu; od kogo? powiedzieć nie śmiem, lecz czytanie jego przekona, że od osoby, umiejącéj czuć i cenić rzeczywistą wartość natury ludzkiéj, piękność duszy i serca, bez względu na marne świata zaszczyty. Jeśli wrażenie, które pan doznasz, będzie choć w części odpowiadało mojemu, nie wątpię, że list ten wkrótce ujrzę w piśmie pańskiem, co nie dla jednego może czytelnika moralną korzyść przyniesie.

Jestem etc.

Jeden z prenumeratorów.

Przejeżdżając przez Obiezierze w 1834, wstąpiłam do kościoła i trafiłam na pogrzeb. Nigdy ten uroczysty obrządek, głębszego na méj duszy nieuczynił wrażenia. Ubogi katafalk, prosta drewniana trumna, a jednak cały kościół napełniony ludem, zastanowiły naprzód moję uwagę. Podziwienie moje powiększyło się tém bardziéj, gdym postrzegła na wszystkich twarzach głęboki smutek, a na wielu łzy rzewne. Po skończoném nabożeństwie, przeniesiono trumnę na cmentarz, i postawiono nad brzegiem już wykopanéj mogiły, obok drugiéj, znać kilką laty dawniejszéj. Naówczas powszechna żałość, którą widziałam tłumioną w kościele, głosném zewsząd odezwała się łkaniem. Wszędzie w około siebie słyszałam wyrazy, wyrazy szczere, z ust prostego ludu idące: „Nie ma naszéj pocieszycielki, naszéj przyjaciółki, naszéj dobrodziejki, naszego anioła! Niechże ją raz jeszcze obaczym!“ Zdziwiona do najwyższego stopnia tą tak powszechną miłości i żalu oznaką, zbliżyłam się spiesznie z innemi, by oglądać twarz zmarłéj,

którą na głośne żądanie wszystkich, przed spuszczeniem do grobu, odkryto. Wyznaję, żem się spodziewała ujrzeć pańską odzież, świadczącą o zamożności téj, która za dobrodziejstwa świadczone za życia tyle serc pozyskać umiała. Omyliłam się na moim wniosku. Suknia była biała, płócienna i równie uboga jak trumna; ale twarz zmarłéj za pierwszém na nią spojrzeniem, przejęła mię czcią i niewymowném wzruszeniem. Regularne i delikatne rysy, chociaż nieruchome i martwe, tchnęły, zda się, jeszcze jakąś niezwyczajną pięknością, jakąś swobodą i łagodnością dziecinną; znać w nich było jakby cień wzniosłych i smutnych myśli, jakby ślad rzewnych i spokojnych cierpień; jedném słowem coś takiego, czego wyrazić nie umiem, lecz co ją w oczach moich czyniło podobną do jakiéjś świętéj, w zachwyceniu tylko będącéj. Skwapliwie spytałam, kto była? Odpowiedziano mi, iż była żoną dawniejszego rządzcy tych dóbr, przed laty kilku zmarłego, którego właśnie grobowiec, obok jéj mogiły widziałam. Imię jéj: Rozalia z Litwinowiczów Małecka. Chciałam dowiedzieć się o szczegółach jéj życia, lecz tu za odpowiedź odbierałam tylko przerywane łzami opowiadanie jéj dobrych uczynków, jéj pobożności, poświęcenia i czułości dla chorych i nieszczęśliwych, których więcéj niż datkiem, bo sama była ubogą, współczuciem i troskliwością cieszyła i wspomagała. Z różnych opowiadanych mi o niéj przez lud prosty szczegółów, czułam jasno, że źródłem cnót jéj i postępków, było żywe i mocne czucie, głęboka wiara i prawdziwa miłość chrześciańska. Dowiedziałam się przytém, że wcale nie była uczoną; nie miała żadnych wykwintów i przesady wyższego stanu, lecz owszem pełną była prostoty i pokory. Tém więc bardziéj pragnęłam wiedzieć o szczegółach życia osoby, która całą swoją moralną wyższość winna tylko była Bogu i sobie. I oto jest, czegom się dowiedziała.

Rozalia Litwinowiczówna była córką ubogich rodziców. Wprawdzie ojciec jéj był dobrym kuchmistrzem i w wielu wielkich dworach sługiwał; lecz czy to nieszczęściem, czy z własnéj winy, straciwszy wszystko, co zebrał za młodu, na starość przyszedł do nędzy, i co gorsza z rozpaczy oddał się nadto zwyczajnemu u nas nałogowi. Nie było za co posyłać córkę do szkółki, wzrosła więc w domu przy czułéj i bogobojnéj matce, która oprócz czytania i robót ręcznych, niczego więcéj nauczyć jéj nie mogła. Ubóstwu temu winna może była Rozalia, że żyjąc w zupełnem odosobnieniu od świata i ludzi, chociaż nie mogła nabyć wyższych wiadomości, uchroniła się od wszelkich złych przykładów i wrażeń, któreby czystą jéj duszę zamącić lub skazić mogły. Widok i przykład nieszczęśliwéj matki, nauczyły ją największéj ludzkiéj mądrości, nauczyły cierpieć z pokorą, modlić się i wierzyć z ufnością, i poświęcać się z miłością dla drugich, przez dziecinną i chrześciańską powinność. Wzniosłe te uczucia jéj duszy odbiły się w jéj twarzy, w jéj spojrzeniu, postaci, we wszystkich jéj postępkach i słowach. Rysy jéj, jak sama widziałam, regularne i piękne, były jak mówiono, za życia, pełne owego tajemniczego wyrazu, który w samém milczeniu przemawiał. Był to wymowny obraz dziewiczéj skromności, delikatności i głębokiego uczucia. Postać miała wysoką i szczupłą, w każdém ruszeniu poważną i pełną godności. Oczy jéj ciemno-niebieskie, nie miały wprawdzie ognia żywości, ale w jéj każdem spojrzeniu utajona była myśl jakaś wewnętrzna; zdawało się, iż tam głęboko coś wyczytać można. Życie jéj chociaż na świecie, było prawdziwie zakonne; pobożność była duszą jéj duszy. Osoba najbliżéj ją znająca, która mi tych szczegółów o niéj na piśmie udzielić raczyła, tak się w tym względzie wyraża: „Słyszałam o owych świątobliwych pustelnikach dawnych wieków, którzy stroniąc od świata, nic o świecie nie wiedząc i nawzajem od niego nieznani, trawili życie swe w pracy około wydoskonalenia własnego. Nie jeden z nich doszedł do sławy; więcéj nie równie samemu Bogu tylko znajomych, powróciło do niego po krótkiém wygnaniu; w ciągu którego w nim tylko i dla niego żyli. Śmiele rzec mogę, że wewnętrzne, tajemnicze życie Rozalii, wiele miało podobieństwa z życiem owych ludzi. Do ich też stanu jedynie dążyła, mając ustawnie za cel coraz większą doskonałość chrześciańską, i cnotę wyższą nad samą powinność. Najulubieńszą dla niéj xiążką było: Naśladowanie Najświętszéj panny, czytała ją codziennie; to też wszelkie jéj czyny tchnęły duchem téj xiążki. Nie mniéj zajmowały ją żywoty świętych, które z zupełną wiarą i uniesieniem czytała. Opisane w nich cuda, cierpienia i cnoty, zajmowały bezprzestannie jéj wyobraźnią, budząc najżywszą chęć naśladowania ostatnich. Nie dążąc do osobliwości, miała swe własne zwyczaje, z chęci uniknienia spojrzeń ludzkich pochodzące, które ją od pospolitych osób różniły. Naprzykład, idąc do kościoła, zarzucała na głowę zamiast kapelusza dużą błękitną chustkę; i gdym ją tak widywała klęczącą i modlącą się, podczas nabożeństwa, wyznać muszę, że żaden z obrazów, nawet Rafaela, które widziałam, nie wyrażał lepiéj téj dziewiczéj świętości i prostoty, jaką sobie w Najświętszéj z dziewic wyobrażamy.“

Taką była Rozalia, gdy zostawszy sierotą w 17 roku życia, dostała się do możnego domu w Wielkiéj-Polsce, na służbę przy młodéj 13sto letniéj panience. Młoda ta osoba, pomimo dziecinnego jeszcze wieku, obdarzona z natury tkliwą i szlachetną duszą, odbierając świetne wychowanie, umiała pojąć i ocenić wewnętrzną zacność Rozalii, którą odtąd nie jak sługę, lecz jak przyjaciółkę swą uważała. Światła jéj przewodniczka i towarzyszka podzielała też same uczucia, i obie razem pragnęły zająć się wyższém ukształceniem

umysłu Rozalii, udzielając jéj wyższych nauk i wiadomości. Na nieszczęście czy też na szczęście, uprzedzenia rządzącéj niemi ciotki, zacnéj zkądinąd, i pełnéj najlepszych chęci osoby, nie dozwoliły im wykonać zamiaru. Sądziła bowiem ona, że dając ubogiéj dziewczynie wyższe nad stan jéj wychowanie, a nie mogąc przytém za pewnić wyższego na przyszłość losu, byłoby to tylko sprawiać jéj nieszczęście. Nie zaprzestały jednak młode opiekunki czułych około niéj starań i nauczyły ją pisać rachunków, i innych wiadomości, w każdym stanie przydatnych, a które chciwa oświecenia z dziwną pojmowała szybkością. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika literacka. *)

Szwecya, wspomnienia jesienne z roku 1836.

(Przez Alexandra Przezdzieckiego. W Warszawie 1836.)

Literatura polska w żadnym innym oddziale nauk nie jest tak ubogą, jak w podróże oryginalne. Z dawniejszych czasów podróż Radziwiłła do ziemi świętéj, Jakoba Sobieskiego po Europie; z nowszych podróż Sapiehy po krajach sławiańskich, E. Raczyńskiego po Turcyi, Borkowskiego po Włoszech, Łacha Szyrmy po Szkocyi i kilka innych mniéj ważnych, oto cały zasób podróży naszych oryginalnych. Szczupłą tę liczbę podróży pomnożył P. A. Przeździecki dziełkiem niniejszém. Syn znakomitego obywatela na Podolu, słuchając nauk w uniwersytecie berlińskim, podczas feryi z dwoma braćmi swemi i przewodnikiem młodości swojéj P. F. H. P. zwiedził w roku 1833 wyspę Rugią i Szwecyą, i zdarzenia i uwagi swoje, rzucone o tym kraju w przelocie, na widok publiczny wydał. Dziełko młodego autora, nie zawiera wprawdzie głębszych postrzeżeń naukowych lub statystycznych o kraju, który nas pod tylu względami interessuje, i nie jest zupełnie wolném od usterków językowych i grammatycznych; z tem wszystkiém napisane stylem łatwym i ozdobnym, przytem bogate w rozmaitość obrazów, zajmuje przyjemnie uwagę czytelnika. Zamiast owych każących serce, jałowych i, że tak powiem, wodnistych romansów, radzilibyśmy czytelnikom i czytelniczkom wziąść niekiedy w rękę takie podróże, jaką jest podróż po Szwecyi pana A. Przezdzieckiego. Dla obeznania czytelników z stylem P. Przezdzieckiego i sposobem traktowania rzeczy, umieszczamy tu wyjątek mały z podróży jego:

„O mil pięć od Upsali, odległa jest sławna kopalnia żelaza w Danmora. Siedliśmy na pocztowe wózki, po raz pierwszy od Norköping, wysławszy naprzód, w miejsce poczciwego huzara, który nas w stolicy opuścił, innego posłańca, którego nam w austeryi polecono z powodu, że miał polskie nazwisko. Dziad jego, muzykant z professyi, w te strony przywędrował, ożenił się, osiadł, i tak dobrze przyjął się, iż wnuk już ani słowa po polsku nie umiał. Ale co gorsza, tak ograniczony był nasz półziomek, iż na nic nam się nie przydał: bo zamiast, coby miał nam konie obstalowywać po drodze, dopędziliśmy go na pierwszéj stacyi, i odtąd już z nami jechał. Nic ładnego nie mogliśmy upatrzyć, w ciągu podróży téj pięciomilowéj: jednostajność kraju znudziła nas, przedstawiając te same obrazy, co w prowincyach Smoland i Ostgotland; pagórki zielone, jałowcowe krzaki, bzowe gaje, spiczaste wieże kościołków wiejskich, i drewniane domy włościańskie. Nakoniec zwiastowały nam sąsiedztwo kopalni, długie drewniane rury, na pionowych żerdziach oparte, któremi woda, pompami z kopalni czerpana, wypływa. Nakształt wysokiéj baryery ciągną się o ćwierć mili te rury. Otóż i Danmora! kilka domów fabrycznych około głębokiéj jamy. Ale co za jama! Przybliżyliśmy się do brzegu. W pośród kilku gór żelaznych, w około stojących, otwiera się przepaść, z razu obszerna, ale coraz zwężając się, zakończona jest nakształt wywróconego ostrokręgu, prawdziwy obraz piekła, jak je Dante Alighieri wystawia. Czterysta dwadzieścia stóp głębokości ma otwór kopalni, niższa połowa zalana jest błękitnawym, gęstym dymem, który tajemnice miejsca tego, nieprzejrzaną zasłoną pokrywa. Ni wschody, ni drabina, do dna nie prowadzą; ale na samym brzegu przepaści, wznosi się ogromne rusztowanie. Para koni obraca walec, około którego zakręca się lina, przez kołowrót u góry rusztowania przeprowadzona, ze dna kopalni na powierzchownią ziemi żelazo w beczkach wydobywająca. Jednę z tych beczek wypróżnioną przybliżono do brzegu i proszono nas siadać. Dreszcz mimowolny przejął nas wszystkich, gdy jedną nogą na brzegu jeszcze, drugą zawieszoną nad otchłanią, trzeba było przeważyć się na tę stronę, aby drugą nogę do beczki przeciągnąć; trzech nas wlazło do beczki, w któréj po pas, jak w pokrowcu stojąc, trzymaliśmy się oburącz łańcuchów, które beczkę do ogromnéj liny przytwierdzały. Jeden z robotników stanął nogami na brzegach beczki, trzymając się tylko liny; dano znak: konie zaczęły stąpać, i już dym błękitnawy rozstępował się przed nami. Nie był to wprawdzie ani powóz, ani podróż po temu, aby rozmowę bardzo żwawą prowadzić; jednak obiecywaliśmy sobie, współpodróżni beczkowi, w razie, gdyby dno karety naszéj pod ciężarem runęło, jąć się mocno, każdy swego łańcucha i końca podróży doczekać. Innego niebezpieczeństwa nieprzewidywaliśmy. W prawdzie życie trzech nas na nitce zawieszone było, ale na téj nitce i Parkaby nożyce stępiła. Wprawdzie widzieliśmy pogod nami sterczące skały, jak igły żelazne, o

*) Redakcya Przyj. Ludu zapełniać będzie odtąd osobną kolumnę tego pisma kroniką literacką, dla obeznania czytelników z najnowszemi płodami literatury polskiéj.

które nie trudnoby roztrącić się, ale mieliśmy zaufanie w biegłości naszego sternika, który beczkę od miejsc niebezpiecznych za pomocą żerdzi odpychał. Powoli spuszczono nas na dno, zupełnie jak wiadro do studni; sześć minut i pół upłynęło, nim beczka na dnie stanęła. Wysiedliśmy skwapliwie: gdyż potrzebny był powóz, pozostałym na ziemi towarzyszom. Kopalnia w Danmorze szczególny widok przedstawia; nie ma w niéj jeszcze tych galeryi podziemnych, jak w Wieliczce, w Bochni i we wszystkich innych. Tu robotnicy powiększają codzień ogromną jamę, dno jéj coraz rozszerzając. Danmora otaczała nas stojących na dnie, jak majestatyczna świątynia, któréj ściany i podłoga żelazna, a niebo sklepieniem. Nazbieraliśmy na pamiątkę minerałów, a naładowawszy niemi kieszenie, wleźliśmy na nowo w beczkę, która podniosła się w górę. Teraz większe już było niebezpieczeństwo, bo za cofnieniem się w tył koni na górze, mogliśmy spaśdź gwałtownie na skały, lub na dno kopalni. Ale obeszło się bez przypadku, i dostałem się na otwarte powietrze, niezmiernie zadowolniony z nowego rodzaju podróżowania. Wtenczas powiedziano nam, że najłatwiéj można było, albo samemu zginąć, albo drugiego zabić w Danmorze. Miało się to właśnie niedawnemi czasy zdarzyć. Mimo najsurowszych zakazów, nieroztropny Francuz podróżny, obejrzawszy kopalnię, rzucił kamyczkiem na dno, czekał póki nie stuknęło i odjechał. Nazajutrz dogonili go z oznajmieniem, że kamyk nieszczęsny padł na jednego z robotników, przedziurawił kapelusz i czaszkę przebił. Co za wiadomość dla biednego Francuza! Kazano mu wrócić na miejsce, i być świadkiem nieszczęścia, którego był sprawcą. Starał się los pozostałéj familii osłodzić; ale co za wspomnienie pozostanie mu z téj podróży! Wracaliśmy nocną już porą do Upsali; słaba zorza północna blado przyświecała nam od Danmory.“ Dziełko to znajduje się na sprzedaż w księgarni Szerka, w Poznaniu.

Przysłowia i piosnki gminne.

Co ma wisieć, to nie utonie.
Tonący brzytwy się chwyta.
Samotny, jak kołek.
Każda liszka swój ogon chwali.
Trzyma się jak pijany płota.
Każda nowa miotła
Dobrze wymiotła.
Na pszennéj ziemi tak się nie urodzi, jak w głupich głowach.
Wlazł w błoto, wyleść nie umie.
Gdacze jak kura po zniesieniu jaja.
Pół psa, pół kozy
Niedowiarek boży.
Biednemu zawsze wiatr w oczy.
Nie każdemu psu łysek.
Cieszy się jak żółw pomyjom; albo
Jak nagi w pokrzywach. —
Rura do barszczu, mówi się o człowieku głupim i niezdolnym.
Dwa grzyby w barszcz.
Od Anasza do Kaifasza.
Płot trzy lata, kot trzy płoty,
Człek trzy konie, koń trzy koty.
Obejdzie się tatarskie wesele bez marcepanów.

W tem sadeczku na ogrodźie
Rośnie lelija,
Tam gdzie to się najmilejsza
Moja uwija.

Idzieć ona przez pokoik
Czyniąc się panią,
A Jasinka oczka bolą,
Patrzając na nią.

Idzieć ona do kościoła
Jako lelija,
A Jasinek na koniku
Przed nią wywija.

I usiadła w pierwszéj ławce
Między damami,
Najśliczniejszy dyamencik
Między perłami.

Przyklękneła do ołtarza
Jak rożany kwiat,
Czarne oczy zapłakały
Zmienił jéj się świat.

Na! chusteczki, otrzyj oczki
Kochanko moja,
Niechże ci się świat nie mieni
Uroda twoja.

Ziele rozmara parobcy
Ziele rozmara,
Zaleca się w téj Luboni
Lada niezdara:
A ziele ruta parobcy
A ziele ruta,
W téj Luboni parobczyska
Jeno ich buta.
Kiedy idą do taneczka
To się chybają,
Czy od buty czy od pychy
Czy w czubie mają?

Koło okna ścieżka
Trzymaj matko pieska,
Masz córeczkę ładną,
Bo ci ją wykradną.

Z góry woda ciecze,
Na dole się mąci;
Sobaka kawaler
Co dwie bałamąci.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)